

Stało się. Po ponad czterech latach wybraliśmy się na wakacje. Z oczywistych przyczyn zdecydowaliśmy się pojechać sami, czyli bez Antosi. Miał to być czas na odpoczynek, ale też na przyjemności, na oderwanie od szarzyzny codziennych zmagań. Dziewięć dni tylko dla nas.

Początkowo miał być Krym. Zachęceni przez znajomych, mieliśmy dojechać na własną rękę. Buty na kamieniste plaże już czekały, a przewodniki kusiły pięknymi widokami. Przebieraliśmy nogami czekając na moment, kiedy będzie można powiedzieć ?start?. Im jednak było bliżej wyjazdu, tym więcej wątpliwości pojawiało się w naszych głowach. Ostatecznie rozmowa z zaprzyjaźnionymi obywatelami zza wschodniej granicy przesądziła sprawę. Przejazd 1500 km tylko we dwójkę przez Ukrainę, co by nie mówić, do końca chyba mądry nie był. Uznaliśmy, że problemy, które obecnie ?posiadamy? są w zupełności wystarczające, nie trzeba więc prosić się o nowe.

I tak, po rozważeniu wszystkich za i przeciw, ostatecznie ?wylądowaliśmy? w Bieszczadach. W miejscu, w którym przed urodzeniem się Antosi niejednokrotnie gubiliśmy swoje smutki, odpoczywaliśmy, nabieraliśmy sił, pod wrażeniem którego byliśmy za każdym razem, kiedy się tam udawaliśmy. Uznaliśmy, że i tym razem Bieszczady nas nie zawiodą.

Od samego początku coś było jednak nie tak. Nie potrafiliśmy tego zdefiniować, nazwać ani uzasadnić. Brakowało nam radości związanej z wyjazdem. A przecież czekaliśmy na tę chwilę tyle czasu, tyle lat. W ciężkich momentach wyobrażaliśmy sobie, jak to fajnie jest oderwać się od tego wszystkiego i uciec choć na trochę. I kiedy nareszcie nadszedł nasz czas nagle pustka, takie nic, null, zero. Nie potrafiliśmy wykrzesać z siebie niczego pozytywnego. Kiepski hotel dopełnił całości. Najgorzej jednak było na szlakach i wcale nie kolana czy stopy bolały najbardziej. Najmocniej bolało serce, bo oczy wodziły za tymi z rodziców, którzy razem ze swoimi pociechami zmagali się, by dotrzeć na szczyt, pomagali rozwinąć kanapkę, nalewali herbatki z termosu czy masowali bolące nóżki. Żal z powodu tego, że nam nie jest dane tego doświadczać, że nie możemy, tak jak inni, ciągnąć za sobą niepokornej trzódki zastąpił wszystko, co pozytywnego zawsze wywoziliśmy z Bieszczadów. W takich okolicznościach nawet widoki, które zawsze nas fascynowały, nagle wydały się nieciekawe i takie zwyczajne, a satysfakcję wynikającą z pokonania szlaku zastąpiły gorycz i smutek, bo ten etap życia, jak to powiedział mój mąż, u nas nie wystąpił. Tak, to prawda, jakoś dziwnie nas ominął, podobnie jak ominęło nas tysiąc innych miłych i śmiesznych rzeczy, jakie wiążą się z byciem rodzicem. I

zawsze, kiedy wydaje mi się, że się z tym pogodziłam, zdarza się coś, co burzy mój spokój. Tym razem były to wakacje, które przecież miały wyzwolić dobre emocje i dać siłę na dalszą drogę z chorym dzieckiem. Zamiast tego pokazały raczej beznadziejność sytuacji, w której utknęliśmy. Dopiero, gdy złamie się schemat i stanie się z boku można zobaczyć, jak wielki ciężar dźwiga się na co dzień. Ogrom obowiązków jak również zżycie się z chorobą zaciemniają obraz. Poza tym, starając się żyć w miarę normalnie, sami gubimy się w tym wszystkim. Prawda jednak jest taka, że rodzic chorego dziecka żyje z wciąż krwawiącym sercem, a jedyną rzeczą, o której marzy naprawdę, której pragnie, która śni mu się po nocach i pozwoli odnaleźć wewnętrzny spokój jest powrót do zdrowia jego dziecka. Wakacje są tylko próbą odcięcia się od problemów, które i tak trzeba będzie rozwiązać, bo zwyczajnie uciec się nie da. Nie można zapomnieć o kimś, kto jest częścią nas samych. Nie można cieszyć się pięknymi krajobrazami wiedząc, że kogoś obok brakuje.

Edyta